

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JULIUSZ SŁOWACKI

**PODRÓŻ
DO ZIEMI ŚWIĘTEJ
Z NEAPOLU**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PIEŚŃ I

WYJAZD Z NEAPOLU

1

Muzo, mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,
Sentymentalna; bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia i koniem, i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,
Korfu... gdzie jadę, powie drugie canto

2

Tymczasem pierwsze opowiedzieć musi,
Skąd się wybrałem, po co, i dlaczego?
Chrystusa diabeł kusił i mnie kusi.
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością i pokazał wszędzie
Pustynie mówiąc: „Tam ci lepiej będzie”.

3

A jednak gdyby mniej pamięci bolu,
Zachceń i marzeń, a więcej rozsądku,
Toby mi dobrze było w Neapolu,
Gdzie pod oknami na prawym przyłądku
Widziałem szare więzienie stolicy,
A zaś Wezuwiusz górą po lewicy.

4

Błękitne morze pomiędzy więzieniem
 A między górą popiołów i lawy
 Czeką ciche, aż góra płomieniem,
 A konstytucją buchnie wulkan prawy.
 Tak było niegdyś, nim się na Francuzów
 Król i Fra diabeł ruszyli z Abruzów...

5

To jest za króla ruszał się kardynał,
 Za kardynałem fradiabelska banda,
 Ta rozgrzeszała, rak czerwony ścinał
 W imieniu Boga, Papy, Ferdynanda;
 Gdy zaś wyrąbał do *Kyrie Elejson*
 Litanią świętych, wyręczył go Nelson.

6

Mówiłbym dalej, ale *Pan Podstoli*,
Dziady, a zwłaszcza tych *Dziadów* część czwarta,
 Uczą porządku, w opowiadań roli
 Rysując proste ścieżki. Wiec do czarta
 Mego Pegaza wyskoki i liczne
 Opowiadania semihistoryczne.

7

Wiec do porządku! A jednak mię boli
 Dawać odsyłacz do pana Coletty,
 Gdzie opowiada, jak trup Caraccioli
 Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety,
 Przyrzekłem trzymać wędzidło na pysku
 Apolinowym. Lecz powiem w przypisku.

8

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści
 Z podróży wątkiem znajdzie się przypisek,
 To go pod strofą poprzednią umieści,
 Zmazawszy parę skrzyżowanych krysek,
 I nie dozwoli, by za gwiazdek tropem
 Czytelnik gonił z Herszla teleskopem.

9

Przypisek winien być pisany prozą,
 Lecz ja nie mogę pisać tylko wierszem;
 Kto by pomyślał, że mnie rymy wiozą,
 Że sobie konno usiadłem na pierwszym,
 A za mną drugi jedzie krok za krokiem:
 Rym z parasolem, z płaszczem i z tłómokiem.

10

Wierście mi jednak, że lepsza od rymu
 (Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)
 Para mnie gnała z Marsylii do Rzymu,
 Do Neapolu zaś przywiózł veturyn.
 Carozze jego i cabrioletti
 Zalecam wszystkim... zowie się Paretti.

11

Zalecam nowy hotelik „Vittoria”,
 Który staremu nie ująwszy sławy,
 Tak się podzielił famą, jak cykoria
 Wmieszana zgrabnie do mokańskiej kawy,
 I marmurami, wygodą i luksem
 Ze starym idzie, jak Kastor z Poluksem.

12

Zalecam także (zostanę Astolfem,
 Bo mój hipogryf staje się skrzydlatym),
 Zalecam tobie mieszkanie nad Golfem
 Na świętej Łucji... a jeśliś bogatym,
 Jeśli ci kura złote nosi jaja,
 Mieszkaj przy Villa Reale na Chiaja.

13

Dosyć już! dosyć! Wyznaję ze wstydem,
 Że pohamować nie umięjąc weny,
 Z wieszczą zostanę prozaicznym gidem
 Ja, com zamierzał wyplakiwać treny
 Nad Caracciolim i kłać Ferdynanda;
 Dziś piszę, jaka, gdzie stoi loccanda.

14

Bo też kto dzisiaj jest na stałym lądzie
 A jutro myśli wędrować po morzu,
 A pozajutro jeździć na wielbłądzie,
 Nie jedząc mięsa, ani śpiąc na łożu,
 Chciałby Europę, co mu z oczu znika,
 Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

15

Jeśli Europa jest nimfą, Neapol
 Jest nimfy okiem błękitnym; Warszawa
 Sercem - cierniami w nodze – Sewastopol,
 Azof, Odessa, Petersburg, Mittawa;
 Paryż – jej głową – a Londyn – kołnierzem
 Nakrochmalonym, a zaś Rzym – szkaplerzem.

16

Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze
Na Niderlandach kończy się zamknięte.
Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże
Po święte myśli i szkaplerze święte,
Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,
Że będę nieco zabawny, lecz skromny.

17

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo ekspir,
Z muzyki znaku milczenia pożyczę
I muzę moją w rymowym balecie
Na zakreconym wstrzymam piruecie.

18

O Neapolu! ty nie pożegnany
Czekasz, aż ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus urodzona z piany
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie
Skrawymi słońca zachodniego łuny,
Cichy pod górą, co ciska pioruny.

19

O! Neapolu! gdzie jest twoja dusza?
Bo duszą twoją nie jest ruch i życie,
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza,
A ty na niebie i na fal błękicie
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła...

20

O! Neapolu! wieczorne wyziewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą,
Harmonizujesz się tak jako śpiewy
Z ciszą powietrza, twe dzwony nie jęczą,
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

21

Tylko po Chia i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki,
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie,
Wszystko się rusza. Grób wieszczą wysoki
Właśnie tam stoi, dove fa il torso
Ulica. – Z grobu patrzałem na Corso.

22

A choć przejeżdżał w prześwietnej osobie
Królewic mały, choć mu się rój kłaniał;
Jam się nie skłonił, bom siedział na grobie.
Masztalerz jechał i kijem rozganiał
Mrówki idące w przeznaczenia drogę
Z królewicami... gdzie? zgadnąć nie mogę.

23

Choć bardzo lubię filozofią Kanta,
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,
Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta;
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu,
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu,

I w poemacie używał języka
 Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
 Kładł majuskule, to podług krytyka
 Na końcu rymu położone B. I. C. E.
 Wcale znaczyło co innego w pieśni
 Niż Beatricze. Wam się o tym nie śni!

A ja dowodzę, że Dant o kochance
 Nie śnił, a jeszcze mniej śnił o Vororcie
 Albo Konwencji – i nie topił w szklance
 Cesarza Niemców, i w piekła retorcie
 Nie smażył rządu lepszego, co przyjdzie –
 Jak niegdyś Platon kiep na Atlantydzie.

Z grobowca wieszczą widzę, jak nad głową
 Wulkanu księżyc wysunął się biały,
 A u stóp góry Castello del'Ovo,
 Zamek podobny do sterczącej skały,
 Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
 W morzu, jak jaje Kolumba na stole;

Szczerniał przy fali migającej złocie,
 A gdy na niebie szafirowym ze dna,
 Gwiazd zapalonych wychodziło krocie,
 I z okien zamku błyska gwiazda jedna,
 Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
 Siostra błyszczących gwiazd u Karmelitów.

O! gladiatorzy wydarci ludowi
 W godzinie zgonu i mrący na słomie,
 Idę powiedzieć o was Chrustusowi
 Pod jego krzyżem w Jego męki domie.
 Idę zapytać głośno w Oliwecie,
 Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie,
 Z oliwy bladej gałązki rwać będę,
 A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,
 Liśćmi płaczu posypię tę grzędę,
 Pod którą będzie cichy sen grobowy,
 Koście bez czaszek i trupy bez głowy.

O! bracia moi łańcuchami zbrojni,
 O! nie targajcie wy się jak w rozpaczyl!
 O bracia moi, bądźcie wy spokojni!
 Słońce was jutro po kratkach zobaczy
 Bładszych wilgocią, strawą i myślami,
 A ja was żegnam... Niech śmierć będzie z wami!

Żegnam i ciebie, o! garsteczko prochów,
 Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
 Turkot powozów z Pauzylipu lochów
 Woła pod tobą hymnem romantycznym,
 Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
 Że ta bryk droga jest wieku *Eneidą*.

Most pod Tamizą jest kupców *Iliadą*,
 I wiele będzie do sprzeczki powodów,
 Czy jeden Rotszyld jak wieszcz nad Helladą,
 Czy też brzęczących kompania rapsodów
 Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby
 Anglikom się w twarz przypatrują ryby.

Lecz niech mię ciemność Erebu ogarnie,
 Jeśli okłamię Pauzylipu grootę.
 W ciemny korytarz spadają latarnie
 Jedna za drugą jak gwiazdeczki złote.
 A tam, gdzie nikną i gdzie ciemność krucza,
 Światło dnia wpada jak z dziurki od klucza.

I jeszcze wyżej wzniosłszy się na duchu
 Powie ci Muza w opisaniach szczytna,
 Że na uwitym z latarni łańcuchu
 Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,
 A w tej gwiazdeczki lazurowym łonie
 Rodzą się ludzie, powozy i konie.

Rodzą się, rosną i w latarni błyskach
 Idą większejąc długim korytarzem.
 Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,
 A jesteś przyszłych wulkanów malarzem,
 Tu nie lękając się dyb i powroza
 Zbieraj modele jak Salvator Rosa.

Lecz chodźmy w miasto. Już księżyc wysoko,
 A golf ubrany latarni przepaską.
 Stolico! gdzie nikt nie myśli głęboko,
 Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,
 Niech twój rząd stworzy jakie słowo święte
 Na niemyślenie jak na far-niente!

Dyjogenesów lud rynki zasiada,
 „Czego chcesz?” – pyta Wolność lazaron:
 „Zejdź z mego słońca” – nędzarz odpowiada;
 Jeżeli nie ma karlinów, to skona
 Z głodu – i pójdzie na łódki, gdzie Charon
 Dusze przepławia... Wolność? czy lazaron?

Wolność... już dla niej uszyto symarę
 Z gazet *Giovine Italia*... Lazaron
 Będzie żył, póki ma frutti di mare,
 Niebo błękitne i żółty makaron,
 I koszyk, w którym leży jak ostryga.
 Pytasz się, co w dzień porabia? Dościga...

A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,
 Tytuły contów i w oknach firanki,
 W cieniu dopiero się ledwo zieleni...
 Kto temu winien? – Neapolitanki...
 One to winne, że się lud nie budzi;
 Bo któż z młodzieży umie robić ludzi?...

40

Ja wiem, że wiele winienem kochance,
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,
Na Archipeląg uciekać po laur
I awantury – jak Korsarz i Giaur.

41

Ona uczyła mię chodzić jak scenarz
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie);
Wmówiła we mnie, że zamiast *Ojczenasz*
Lepszą modlitwą... księżycyco-wzdychanie...
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku
Na katolicyzm...mam religią smutku...

42

I odpisałem... co? już nie pamiętam...
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco
Jak Russo – ani tak sucho jak Bentham.
„Jako dwie skały, kiedy je roztrąca
Strumienie rzeki, choć je nurt rozdziera,
Patrzą na siebie niebem...” et ceatera.

43

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
Zagrała w sercu i łzy moje płyną.
O Lutko! dziecka kochanko, bądź zdrowa!
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona,

44

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie,
Kart nie odwracaj... bo nim spocznię w grobie,
Będę ci śpiewał jak mrące łabędzie,
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią się deszcze...

45

I łzy się żywe rozbiegną po łonie
I strumień palce różowe otworzy;
Jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłonie,
Ja wtenczas będę spokojny, jak w zorzy
Gwiazda niktąca blady – lub z obliczem
Pełnym promieni boskich... albo niczem.

46

Jednak jeżeli Ten, co jest na niebie,
Słyszał o słońca mówione zachodach
Modlitwy moje; wszystkie nie za siebie,
A tak rozlane na świat... jak na wodach
Mórz lazurowych rozlewał się cały
Krań tonącego słońca – skrawo biały...

47

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć
I nie przeklinać... i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym, i niktąć,
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się... i nie przeklinać,

48

Jeśli i Boga nie zwiódła udana
Spokojność moja – ta Chrystusa szata,
Krwia poplamiona i drugi raz wdziana
Naduszę pełną bólu... i ze świata
Uciekającą na chmurach jesiennych
We dnie tak smutne jak noce bezsennych –

49

To mojej duszy dobytej z popiołów
Da wiele ciszy; i na jaką bladą
Gwiazdę, do smutnych krainy aniołów
Przeniesie senną. „Trupi prędko jada” –
Mówi poeta ballad w *Leonorze*;
Więc na niemieckim chciałbym się upiorze

50

I ruszyć w podróż, bo się pieśń przewlecze
Niejedną jeszcze przerwana idea.
Jutro kurierem wyjeżdżam do Lecce,
Jutro więc zacznę śpiewać *Odyseę*,
Albo wyprawę o Jazona runach –
Na nowej lutni i na złotych strunach.

PIEŚŃ III

STATEK PAROWY

1

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słycać dźwięk żelaza szklanny,
A jako z płaskiej wieloryba głowy
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak spod okrętu młyńskim bita kołem
Wytryska piana, a dym leci czołem.

2

Jeszcze nie rzucę porównania, chyba
Słów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty
W drewniano-smolnym łonie wieloryba,
A jako niegdyś płynął Jonasz święty,
W łonie okrętu bez desek i miedzi,
Wesoło, w licznym towarzystwie śledzi,

3

Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu
Trawionych fląder, ostryg i czefalów,
Tak nasz kapitan i wódz packetbotu
Z pasażerami jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i mądry,
Nas ma za śledzie, ostrygi i flądry.

4

Tu majtek rudel obraca mosiężny,
 Dalej zantejski sędzia i sędzina,
 A między nimi synek niedołączny,
 Sędziątko z twarzą zwierzęcą kretyna,
 Może przekleństwo jakiego klienta,
 Ubrane w takie ciało jak zwierzęta.

5

Zdziwiony patrzy na okręt i twarze,
 Nie wie, co znaczą łzy na matki licu,
 Nie wie, że przezeń Bóg rodziców karze.
 A nam widniejsze góry na księżycu,
 Morza przy górach i na morzach statki,
 Niż temu dziecku łzy na oczach matki...

6

Kapitan krzyknął Virgillem: „Et tantae,
 Tantaene divis coelestibus ira?”
 Na to się podniósł graf Solomon z Zante,
 Poeta grecki; ucho mu rozdziera
 Zmiana wyrazów i kradzież średniówek,
 Więc chciał poprawić – lecz żałował słówek.

7

Może też słabość: bo prędko rękoma
 Wziął się za serce i na dwóch lokai
 Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
 Bo skoro tylko jeden się narai,
 Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
 Aby wiedziano, że dwóch w służbie liczy.

Wielki poeto! jako między skały
 Rzucony Tytan, tak ty w puchowniczk
 Strącon słabością; a twój surdut biały
 I glansowane białe rękawiczki,
 I twój z usługnych lokajów paszalik
 Świadczą, że jesteś coxcomb lub migdalik.

„O znam ja ciebie! której ręka trzyma
 Miecz w piorunową uzbrojony jasność.
 O! znam ja ciebie, skrawymi oczyma
 Na świat patrząca, jak na przyszłą własność”...
 Z takim to niegdyś do wolności żarem
 Przemówił ów graf i został Pindarem.

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,
 Mówią, że dzisiaj, co napisze, spali.
 Mówią, że wierszy popalonych szkoda,
 Mówią, że przy nim wszyscy wieszczę mali.
 Szkoda, że zamiast wierszy chować w szafę,
 Czyni z nich co dzień pan graf auto da fé.

Przy tym poecie, co był tak ognistym
 Wewnątrz, a z wierzchu drżał jak galareta,
 Siedział na środku w krześle rozłożystym
 Senator, starzec z twarzą Epikteta,
 Z uśmiechem słodkiej starości na twarzy,
 Z podagra w nogach... z tłumem sekretarzy.

12

Jeden sekretarz był jak kropla wody
 Podobny... Muzo! cyt! niechaj opinia
 Żadna i żadnej nie poniesie szkody.
 Taki był pokład... Dalej biała linia
 Od idywidów oddzielała masy,
 To jest podróżnych, ale drugiej klasy.

13

Tam pod żelazną kolumną komina
 Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek
 Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;
 A między nimi z tłumoków pagórek
 Żółtych i czarnych – a koło tej góry
 Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

14

Przy piersi matek rozplakane dzieci,
 Przy bokach starców stoją flaszki z gliny;
 Czasem iskierka czerwona wyleci
 Z czeluści statku i pomiędzy liny
 Błąka się długo, nim zagaśnie smutna
 Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

15

Nad pierwszą klasą cień i lekkie chłody,
 Nad drugą klasą cięży jakaś para
 I komin sypie deszczem wrącej wody.
 Proszę! za czworo nędznego talara
 Można uniknąć piekła... ale za to
 W Paryżu nazwą cię arystokratą.

16

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
 Po morzu cichym, jasnolazurowym.
 Wkrótce choroba z pokładu wymiecie
 Tłum pasażerów i zostawi zdrowym
 Odgłos dalekiej po salonach czkawki,
 Rozległy pokład i bezludne ławki.

17

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
 Okręt kręconą machinami skrzela.
 Już zbłękitniało Korfu – już się kryje;
 Już się fortece Santa Maura bielą,
 A z drugiej strony przedzielona żwirem
 Forteca Turków w górach pod Epirem.

18

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,
 Ani w błyszczące pióro półksiężycyca,
 Cicha jak kamień; kiedy zamek joński
 By ustrojona do ślubu dziewica,
 Ma kwiat na głowie, tysiąc iskier w oku,
 Bukiet z latarni portowej u boku.

19

A niech wie każda poetyczna Laura,
 Każda sawantka z twarzą bardzo bladą
 I księżycową... że ta Santa Maura
 W starożytności zwała się Leukadą,
 I pod błękitnym unosi obłokiem
 Skalę wslawioną biednej Saffo skokiem.

Znałem... lecz, szczęściem, uleczoną z żalu
 Saffonę bardzo podobną do greckiej.
 Ta się, nieszczęściem, kochała w Moskalu,
 A Moskał zginął na wojnie tureckiej;
 Ta poszła zabrać na warneńskim polu
 Zwłoki – a uszy w Konstantynopolu.

Smutna! ubrana w kwiaty sympatyczne,
 Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
 Kędy osobne biuro statystyczne
 Liczyło uszy z rana do wieczora
 I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
 Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama smutna jak Armida,
 I rzekła z płaczem: „Oddajcie mi skarby!”
 „Jakie?” – rzekł gruby emir bej Raszyda.
 Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
 Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
 Bo nie znalazła frazesu w *Korynie* ...

„Wróćcie! mi wróćcie!” – i znowu zamilkła,
 Patrząc na skarbów znizanych półpluton.
 Zrozumiał emir i dał sznurków kilka,
 I gładząc brodę śmiał się jak – bóg Pluton;
 Śmiał się, zważając na prośby szalone
 Orfeuszowskie, co prosił o żonę

I musiał piekłu grać jak Paganini –
 Na jednej strunie cały płaczu kwartet.
 Ale powróćmy do naszej bogini
 Chciała z rozpaczy umrzeć broken-hearted,
 Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę
 O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skąło Leukady tykająca nieba!
 Śmieję się echami grot tłuczonych falą
 Z lancetów, mdłości i pigulek z chleba!
 Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą:
 Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
 Płynę przy skale nieszczęsnej Leukady.

Piana pod piersi okrętu się garnie,
 Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;
 Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
 Pod obłokami kirowego dymu;
 Zda się, że światła te, zamglone sadzą,
 Okręt w krainę piekielną prowadzą.

Te same gwiazdy, i ta sama skała,
 Te same morze! Lecz gdzież na tej skale
 Postać kochanki pogardzonej biała
 Jak drugi księżyc? gdzie? Tu – o dwa cale,
 Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,
 Saffo śpi jakaś sama w kobiet sali...

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
 Siadła na ławce, spojrzała w błękity
 Tak mglistym okiem, że się zeszyły końce
 Rzęs długich, czarnych – i wzrok był przykryty
 Cyprysem oczu: nie spojrzała w żadną
 Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
 Na dno okrętu, a z wierzchu mówiono,
 Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
 Że przed miesiącem była mniej niż żoną,
 Więcej niż... diabła! niech dokończy zycer,
 Że ją angielski porzucił oficer.

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi,
 Bądź na pokładzie okrętu w noc ciemną,
 Przy skoku Saffo: a będziemy szczerzi.
 Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną
 W ciemnościach nocnych... Co za mną, tułaczem,
 Biegło po morzu z przekleństwami i płaczem.

Sumnienie moje, niewidome światu,
 Jak nereida wyszło z morza głębi,
 Na czole pełne liliowego kwiatu,
 I znów jak Wenus na wozie gołębi
 Leciało między gwiazd sferami śliczne,
 Półchrześcijańskie, półmitologiczne.

Bo przez noc całą tak ciemną i mglistą
 Co robić? – serce własne gryźć i kąsać;
 Trzeba nareszcie zostać panteistą,
 Poznać się z duszą natury i płasać
 Z czarownicami, co się stają widne,
 Podług strawności piękne lub ohydne.

Ave Maria! Już rosy brylanty
 Sypią się z nieba i niebo różowe.
 Już przyplływamy i nad czołem Zanty
 Widać fortecy uzbrojoną głowę
 W niebie nad miastem. Już wychodzą różni
 Na pokład statku zmytego podróżni.

Ten pije kawę, ów rozciąga członki,
 Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.
 (Nasze by damy mówiły koronki.)
 „Bon jour!” – tak do mnie akcentem z Genewy
 Przemówił młody Zantejczyk; figura
 Przez lat dwanaście kształcona na jura,

Przez lat dwanaście uczona w Genewie,
 Z dala od ojca, matki i ojczyzny.
 Może, czy wszyscy jeszcze żyją – nie wie,
 Może nie pozna pod śniegiem siwizny
 Zmienionych twarzy. Nim został studentem,
 Jechał, dziś wraca tym samym okrętem.

36

Te same deski, co go dzieckiem niosły,
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły:
To by się sęki zasklepięte wiekiem
Same otwarły, przez kory szczeliny
Niepowstrzymanych łez lejąc bursztyny.

37

Ale ten człowiek był jako Ilissos
Pod Atenami – bez fal i bez wody;
I ten sam statek, ten sam „Eptanissos”,
Co go odnosił w rodzinne zagrody,
Dla niego prostą był tylko machiną,
Na której ludzie za pieniądze płyną.

38

Z jakiejże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną; co nieraz, nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanej marli!...

39

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć – lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistej drodze życia – płuce
Ogniem pożarte, widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma.

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie
Umarłym, może jedną chwilę wcześniej
Niż zmartwychwstanie twoje, o Syjonie,
Jerozolimo, trapiąca boleśniej

Niż gród Chrystusa... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno! inni powrócą – spać będę.

PIEŚŃ IV

GRECJA

1

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor
Wyjechał z Zante na barce trytonów;
Na głowie swojej miał pomięty kastor,
Surdut na plecach, parę pantalonów.
Nie epopeją pisząc, nie idyllią,
Powiem, że to był metr hotelu „Giglio”.

2

Stanął i zaczął trwożyć: „O! nie płyńcie
Na greckie brzegi, w Patras kwarantanna,
Lepiej do mego hotelu zawińcie,
Oberża moja podróżnikom znana!
W Patras musicie dni dziesięć i cztery
Przebyć kwarantann od osp i cholery”.

3

Chociaż poznałem, że to syn Adama,
Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,
Zląkłem się bardziej niż bohater Gama.
Lecz pomyślawszy rzekłem: „Nic nie szkodzi –
Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie;

4

A ty, co trwożysz, maleńki cyklopie,
Zamiast nas pozrzeć zatrzymanych trwoga,
A może miłych jakiej Penelopie,
Prowadź nas w miasto albo lotną nogą
Spiesząc przed nami, na stołach bez harpii
Postaw nam zrazów, bifsteku i karpi.

5

Zamiast nas pozrzeć, my ciebie pozrzemy,
Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym”.
Z taką odprawą oberżysta niemy
Odjechał. Ja zaś z czołem niepogodnym
Jako Eneasza modliłem się: „Panie,
Nie daj mi w greckiej siedzibie kwarantannie!”

6

A potem wszedłszy na fortecy góry,
Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,
W szczytach szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Tęcza mnóstwo domków w głębi łona
Z domkiem poety hrabi Solomona.

7

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa,
Swoją kanapę i okno na morze,
Swoją miłą stolik, gdzie pisze i ziewa,
Swoje gazami oskrzydłone łóżko;
Może dziś będzie cieszył się lub szlochał,
Patrząc na domek, gdzie kocha lub kochał.

8

Miło powrócić i usiąść na ławach
 Przed własnym domkiem, gdy ucichną gwary,
 Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach
 Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
 Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,
 Przyjdzie i u nóg pana się położy.

9

I myśleć wtenczas... O! fale! O! fale!
 Szumcie wy głucho pod okrętu łonem.
 Patrzę na gwiazdy i cygaro palę
 I nieraz wielkim rozpaczy pokłonem
 Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obsłonic
 Błyska... Modłę się... lecz nie proszę o nic.

10

Miło być także na morzu ozłotnym
 Błyskawicami i białym ognikiem;
 Miło być także dumnym i samotnym,
 I nie dzielone mieć uczucia z nikim,
 I nad powietrza ulatując ciszą
 Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

11

Chrystus nas woła: „Wy, którzyście smutni,
 Chodźcie na łono Ojca!...” Patrz w błękity:
 Oto gwiazd siedem, wszystkie w kształcie lutni,
 Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty
 Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,
 Na tobie dzwoni północna godzina,

12

Godzina cicha, tajemnicza, senna
 Na wielkim morzu, falą wahanemu;
 Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna –
 Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
 Okiem i myślą, a z niebios wyleci
 Koń, który parska gwiazdami i świeci.

13

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
 Już go nie straci i myślą nie zmaże.
 Na strunach lutni położył kopyta,
 W nozdrzach, jak w romu zapalanej czarze,
 Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
 Czasem jak w nozdrzach arabskiego krwawy.

14

Za tymi gwiazdy wychodzi Dyjanna,
 Z gwiazd najświetniejsza, a najmilsza oku,
 Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
 Kiedy w różanym topniejąc obłoku
 Z błękitnej razem staje się zielona
 Jak listek, potem czerwieniąc się, kona.

15

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą pobladła,
 Zapowiadając prędkie ceniom końce,
 Błyśnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,
 Z którego dziecko rzuci tobie słońce;
 A gdy nad smutnym takie blaski roni,
 Przywykasz razem do smutku i do niej.

16

Niebo na wschodzie okrywa purpura,
Potem ją skrawa zastępuje białość,
A róż odcięty jako lekka chmura
Płynie w błękity... O, klasyczna stałość!
Nieraz widziałem przez ten obłok cienki
Łono sypiącej różami jutrzeńki.

17

I dzisiaj pełna jasnego brylantu
Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie
Z błękitnej fali, sponad gór Lepantu,
A za nią słońce rozlane ogromnie
Wyszło jak zegar wieczystego czasu,
Nad błękitnymi górami Patrasu.

18

Takie olbrzymie twarze Nibelungi
W północnych pieśniach opisują. Słońce,
Pierwszy twój promień padł na Missolungi,
Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce
Sto razy większym oparli się siłom,
Kapitulacyj nie biorąc mogliom.

19

Jeżeliś widział rząd domków i fraszek
Poustawianych na dziecinnym stole,
Tak owe miasto. – Cóż to? biedny ptaszek
Leci przez morza lazururowe pole,
I pada przy mnie na ławce, a potem
Kania, z ogromnym twardych piór łoskotem

20

Lecąc, o ławki stuknęła się w drewno,
 I długo w statku zabłąkana liny
 Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.
 A ja – patrzałem na serce ptaszyny,
 Jak biło, jak się układały piórka
 Do spokojności... Była to przepiórka.

21

O! Missolungi! czy pieśń moja zdąży
 Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?
 O Missolungi!... Jak ta kania krąży
 Żelaznym skrzydłem po morzu i niebie,
 Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem!...
 Ten biedny ptaszek jest prawie Polakiem.

22

Dla niego może kościuszkowskim czasem
 Było zniszczenie w Missolungi gniazda;
 A dziś – gdy kania z okropnym hałasem
 Piór natężonych, jak lecąca jazda
 Kirasyjerów na polach Grochowa,
 Gonila. – Lecisz, ptaszyno? bądź zdrowa!

23

Lub niech cię kania zje – boś mi przerwała
 Do Missolungi już zaczęta odę.
 Ta sobie stoi maleńka i biała
 Pod górą – patrząc na błękitną wodę,
 Jako nad Styksem zebrane do kupy
 Białe umarłych domków kościotrupy.

Stoi nad brzegiem, nie owiana liściem
 Żadnego drzewa, lecz na nią upada
 Z gór czatujących nad Lepantu wniściem
 Ciemność i światło, a każda z gór blada
 Mgłą błękitną, a jedna z gór mroczna,
 Jak piramida stoi sześcioboczna.

Tak równe ściany pokazuje słońcu,
 Tak równe boki ma cieniem pokryte,
 Tak ciężka spodem, tak lekka na końcu,
 Jako pod niebo ręką ludzką wzbite
 Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wsławił,
 Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.

Nie uwieńczona śniegowymi srebrzy,
 Musi być u stóp śniegiem kości biała.
 Gdybyś, Byronie, był nie umarł z febry,
 Ale od bomby, kuli lub kindżała,
 Dałbym tej górze posępnej nazwisko
 Grobu twojego – a Parnas tak blisko!

I mnie dziś łatwiej wleźć na szczyt Parnasu,
 Niż ludziom przebyć przed świętym Aliansem
 Rów wykopany. Trzeba na to czasu.
 Na Parnas będą jeździć dyliżansem
 Wieszczę Europy – a republikanie
 Za lat dwadzieścia... Kto wie, co się stanie!...

Wierzę w republik ojca jedynego,
 Robespiera (to *Trybuny* wina,
 Że został ojcem). Credo w Mochnackiego,
 Rzecz-pospolitej jedynaka-syna,
 Co wielkich marzeń nie przestaje snować,
 Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Potem zaś wstąpił do arystokracji
 I trzy dni bawił, a po tej troszecze
 Przyszedł w obliczu przyszłej generacji
 Sądzić umarłych i żywych w książeczce.
 Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,
 W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem,
 I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym,
 I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
 Obieranego; a gdyby mię śmiesznym
 Nie okrzyczano, powiedziałbym, grzeczny,
 Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny.

Zrobiwszy taki sumienia examen,
 Takie wyznanie, biedny wierszokleta,
 Chciałbym dokończyć i dobić... lecz „Amen”
 Uwięzło nagle jak w gardle Makbeta.
 Zacząłem pisać, teraz z wielką biedą
 Biję się w głowę, jak zakończyć *Credo*.

Wierzę, że idą ludy jako chmura
 Pełna błyskawic na trony zachwiane;
 Wierzę, że nawet królewska purpura
 Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
 Lawy żołnierza tam, gdzie stanął Kokles,
 Wierzę, że Milcjad żył i Temistokles;

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanarys,
 Bo właśnie teraz wracam z jego domu,
 Bo sam widziałem, jak błękitów farys
 Od ogniowego opalony gromu,
 W Patrasie grecką dowodzi flotyllą,
 Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.

On, co żył niegdyś jako salamandra
 W ogniu brulotów – dziś spokojny mieszka
 W domku glinianym jak domek Ewandra;
 Dzikimi chwasty zaplątana ścieżka
 Do progów jego prowadzi – przed progiem
 Odłam marmuru, co był kiedyś bogiem.

Belek się ledwo dotykały heble,
 W ścianach obficie powietrza niż gliny,
 Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,
 To jest deszczułki z sosen i szczeliny,
 Wiodą na piętro – wejście, pierwsza próba,
 Już było dla mnie jako sen Jakuba.

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską
 Niezabudkami rzeczulkę – na zdroju
 Miejsce kładkową przeskoczono deską
 Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,
 Dokoła w kalin ustrojone wianki
 Było kąpielą gwiazd i mej kochanki.

Nie wiem dlaczego – lecz nieraz w gorąco,
 Gdy się na upał zaczynają skarżyć
 Świerszcze piosenką po trawach syczącą,
 Szedłem na kładkę – czytać albo marzyć...
 I tak czytałem niegdyś walkę Greka,
 Jak dziecko, które czegoś chce – i czeka.

Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać,
 (Rankiem... kąpała się Lutka w tej wodzie)
 Czeka, czy biała i powiewna postać
 (Widać aleje i lipy w ogrodzie)
 Może spod wielkiej jarzębiny wstanie
 I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!

I czytam marząc, jako Ipsyllanty
 Zwyciężył – ginął.. i dał Grecji brata,
 A kiedy czytam, to rosy brylanty
 Strząsając, zefir po kwiatkach przylata
 I fale w złote pomarszczywszy prążki
 Przewraca karty welinowe książki...

40

Kartki rozwiane przycisnę kamykiem
I będę czytał. Oto wódz naczelny
Demetrius, licznym dowodzący szykiem,
A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny,
Każdy z nich mocny... każdy bez nadziei...
Skąd są? – powstali z mogił Cheronei...

41

Wszyscy – prócz wodza... Ten nie zmartwychwstanie,
Zabity mieczem zgubionej stolicy,
Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie
Chowane w piersiach marmurowej lwicy,
Która im była pomnikiem po śmierci,
Wyszły – i pomnik rozpadł się na ćwierci.

42

Pierś lwa rosnące roztrzaskały dusze!
I dzisiaj leży na samotnym polu,
Jak wielkim prochem rozsadzone kusze,
A głowa, pełna przedwiecznego bólu,
Padła na ziemię – zda się, że spoczywa,
Wydaną duszą smutna i straszliwa.

43

Długo Grek patrzył na tę lwicy głowę,
Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki;
Snycerz dał smutną marmurowi mowę.
Patrząc – słyszałem dwa słowa Kościuszki:
„Finis Poloniae”, przechowane w głazie,
Jak łaźnia w kamieniu – albo myśl w obrazie.

O Cheroneo! o! Maciejowice!...
 Cyt... coś białego wśród liści jaśniej...
 Ach nie! to tylko białe gołębice
 Przez ogrodową leciały aleję...
 Chodź znowu, książko, na kwiaty rzucona,
 Będę znów czytał – to jeszcze nie ona.

Pieniądzy krzyczą – Grek rzuca na szalę
 Dyjamentową oprawę pałasza;
 Nie dosyć jeszcze... rzucił miecza stale,
 Płaćcie żelazem... Już Ibrahim basza,
 Jak Nil, co wszystkich wody na świat wyda,
 Lub jak waląca się z gór piramida,

Spada na Grecję. – Gdzie są Termopile,
 Po których niegdyś wąż Kserksesa przelazł,
 Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile
 Licząc nie drżeli – i marli?... Zavellas
 W polach Klissowy z ośmią set człowieka
 Zastąpił drogę dwóm baszom – i czeka.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;
 Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,
 Patrząc głęboko – czekam, aż ożyje –
 A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa,
 Ani lecący aleją gołębek
 Nie obłąkały mych oczu na ząbek.

Lecz wtem nadzieja odbiegła mię wszystka:
 Zerwałem różę, co tam kwitła świeża,
 I przywiązawszy do każdego listka
 Myśl i życzenie, i życie rycerza
 I Zavellasa... o szaleństwo młode!
 Wszystkie te listki rzuciłem na wodę...

I jeszcze listków zostało mi trocha;
 Myślę, że siane w ziemi nie zakwitną,
 Więc jeszcze jeden listek – czy mnie kocha –
 Posłałem falą wędrować błękitną;
 I nie wiem, jaki los tamte pochłonał,
 Ale ostatni – pamiętam – utonął...

I znowu książkę rozłożyłem białą
 I zimne karty zacząłem całować,
 Wołając... „Greki, niechaj ginę z chwałą!
 Wy mię nauczycie, jak wrogów mordować,
 Jak rzucić drogę marzeń księżycową –
 Z umarłym sercem i z twarzą surową...”

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa
 Stężałem członki krew czując na licu...
 Słyszycie tętent... to koń Botzarisa
 W obóz turecki leci po księżycu;
 A nim się straże obudzone zwały,
 Botzaris w baszy namiot wpadł – umarły...

I odezwały się w górach klasztory,
 A nie były to pogrzebowe dzwony,
 Które kupuje na śmierć człowiek chory,
 Lecz jakieś wielkie pomieszane tony
 Płaczu, rozpaczy wyjące po skałach.
 I większy zemsty głos zamknięty w działach.

A wielkie morze, lazurowe morze,
 Któremu niegdyś poświęcano w Aulis
 Córy królewskie... ciebie teraz porze
 Między flotami tureckimi Miaulis;
 Z nim jest drewniana ateńska forteca,
 Którą Kanarys brulotem oświeca.

Obadwa płyną uwieńczeni w laury
 Wydarte morzu – prędkim idą lotem;
 A ów Kanarys zda się jak centaury –
 Na pół człowiekiem, a na pół brulotem.
 Ten człowiek – śmiały... i pan dwóch żywiołów,
 Którymi niszczy – czy ma twarz aniołów?

Czy pod nim jako pod niebieskim duchem,
 Cicha się łódka nastąpiona nie gnie?
 Czy jego wiosło nie słyszane uchem?
 Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?
 Jak on wygląda, gdy błękitne morze
 Pięć jego czółen oblało w Bosforze?

Sułtan go widzi... lecz zniszczyć niezdolny!
 Nie zgasi nawet płomyka w stambułce
 Wodza greckiego. – Oto konik polny
 Usiadł przede mną na cichej rzeczulce,
 I suszy skrzydeł przezroczystych szkiełka
 Błyszcząc się w słońcu by tęczy perelka.

I suchą nogą na źdźble żółtej słomy,
 Dziecko powietrza, wędruje na łódce
 Przez zwierciadlane rzeczulki załomy,
 I port w rozchwianej znajdzie niezabudce
 Albo popłynie dalej z nurtem wody
 Pod brzóz płaczących nachylone chłody.

A kiedy płynął i srebrzystym rysem
 Znaczył rzeczulki fale zwierciadlane,
 Myśl moja cała z wielkim Kanarysem
 Płynęła za nim... w kraje malowane
 Piękną przyszłością... i widziałem życie
 Z twarzą na słońcu – z oczyma w błękicie.

O, przyszłość! przyszłość Jam się tak do ciebie
 Uśmiechał dzieckiem – ty z taką światłością
 Dni moje siałaś jak gwiazdy na niebie!
 A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością.
 Kwiat spodziewany na wątlej łodydze
 Życia mojego – rozwinął się... Widzę...

Co? jeszcze w myślach owa przyszła chwila,
Jeszcze marzone dawniej Greków twarze,
Jeszcze Kanarys na słonce motyla,
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...
I chciałbym całym włosem się osłonić
Nad dawną księgą – i dawne łązy ronić,

I być zbudzonym – jak dawniej – nad rzeką,
Gdy na aleje złote słońce spadło,
Kiedy słyszany jakiś głos daleko
Wołał jak echo; gdy w rzeki zwierciadło
Patrzac... patrzałem na twój wzrok uroczy,
Nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy...

PIEŚŃ V

PODRÓŻ KONNA

1

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...
Jak wystawiony na niebieskie rosy
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,
Listek uwiędły, co mu spadł na włosy,
Odrzuca z czoła – takeś ty skaliste
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste!

2

Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
Kiedy się skończy sen pełny omamień,
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,
Aby odwalić nasz grobowy kamień –
Ów marmur, pełny naszych cierpień rytych,
Na którym modlą się dzieci – zabitych.

3

Patrząc na oczy pełne błyskawicy,
Na czoło króla płomieni brązowe,
Pytałem znanej mu już tajemnicy,
Bo sam odwalał kamienie grobowe
Z grobu uśpionej głęboko ojczyzny;
Musi znać leki – bo zna wszystkie blizny.

4

Pytałem Greka, ale w nim już nie ta
 Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza.
 Moje pytanie było jak Hamleta
 Metafizyczne słowo, czy śni dusza,
 Kładzione zawsze na grobach od wieka,
 Nie rozwiązane dotąd... przez człowieka.

5

Chciałem mu nadać wielkość Waszyngtona,
 Moim pytaniem na zbawcę pasować;
 Bo też mu złotych brakło milijona,
 A mógłby spalić Sambuł, zamordować
 Tyle wezyrów, tyle krwi wytoczyć,
 Że sułtan miałby gdzie pióro umoczyć

6

I czym podpisać na wolność firmy,
 I Kanarysa odesłać z krainą
 Temistoklesa, przez drewniane ściany
 Zdobytą... Dzisiaj Rigny – Navarino
 Kanarysowi wykradły jak Parys
 Helenę sławy. – Czy cierpi Kanarys?

7

Nie wiem... Czy orzeł kiedy myśli o tem,
 Że kiedy w zimie słońce zda się nisko,
 Mógł o południu natężonym lotem
 Dolecieć – patrząc oczyma w ognisko
 Niebieskich krain? Myśl głupia dla ludzi,
 Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

8

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata
 Mogła się przyśnić orłowi na skale,
 Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...
 Dosyć! cygaro hawańskie zapalę
 Tymi strofami, które nie są odą
 I do niczego mądrego nie wiodą...

9

I właśnie takie ciężkie i nietrafne
 Z ust wychodziły moich parbole,
 Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne
 W laur przemienione, kładły się na czole
 Zapomnianego przez ludzi Greczyna;
 Lecz że świat taki – to nie moja wina.

10

Może bym także chciał (to wszystko maryl),
 By jaki człowiek spotkawszy w ulicy
 Moją figurę... włożył okulary...
 Po diabła nosić sławę w tajemnicy?
 Cieszył się Dante... gdy przekupka rzekła:
 „Patrzcie! ten człowiek dziś powrócił z piekła...”

11

Ja bardzo lubię sławę popularną,
 Lękam się bardzo wymuskanej sławy;
 Dlatego każę na bibułę czarną
 Bić nowe dzieło... gołe, bez oprawy;
 I wyjdzie na świat książeczka pokorna,
 Jak gdyby spod pras Bogumiła Korna.

12

O moja głupia muzo, zapominasz
 Uszanowania winnego księgarzom!
 Ja nie znam Korna... mówią, że luminarz...
 A zaś skład jego podobny cmentarzom,
 Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
 Co lato ziemią przysypani świeżą...

13

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,
 Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu
 Jaki kalendarz – albo elementarz;
 A kogo kocha – tego na świat targu
 Drukiem prowadzi... i stawia za kartą,
 Wieńcząc go świeżą, laurową erratą.

14

O mój księgarzu wrocławski! o Kornie!
 Dokończ tej sfory!... Dalibóg, zaczęta
 I pindarycznie, żywo i wytwornie;
 Lecz moje pióro nigdy nie pamięta
 O drugim wierszu... wbrew dawnej przestrodze:
 „Nim pierwszą stawisz, myśl o drugiej nodze”.

15

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
 A potem pierwszy dosztukowuj zgrabnie,
 A będą mocne – i łańcuch się długi
 Nie przerwie nigdzie, nigdzie nie osłabnie;
 Na takim niańki uwiązani pasie
 Chodzą dawniejsi wieszczce po Parnasie...

16

Lecz ja... Dobranoc! Jutro zorza złota
 Ujrzy mię... w siodle i na Rossynancie,
 Tam gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,
 Utrącił rękę. – Mój obraz w Lepancie
 Będzie odbijał się tak lazurowie,
 Jak cień Quichota... w Cerwantesa głowie...

17

Naprzód malować trzeba kawalkadę,
 Która się brzegiem Lepantu pomyka.
 Gid jedzie przodem, a ja za nim jadę...
 Lecz wam opiszę pierwej przewodnika,
 Który albańskie rozwiawszy wyloty,
 Jechał na koniu gdyby motyl złoty.

18

Na kapeluszu słomianym miał mycę
 Do roziskrzonych podobną płomyków,
 Ze sztuki płótna marszczoną spódnice;
 Gadał mozaiką dziesięciu języków,
 Śmiał się jak dziecko, a dzieckiem był prawie,
 Śpiewał, jak polny konik śpiewa w trawie.

19

Twarz jego młodą gdzieś widziałeś we śnie,
 Może na jakim widziałeś rysunku,
 Gdzie młody Greczyn, wysłany za wcześnie
 Z ojcowskiej chaty, w wojennym rynsztunku,
 Patrzy na Turków oczyma tygrysa
 Na litografii zgonu Botzarisa.

20

Są twarze w ludach powszechne. C'est tout clair –
 Tłomaczyć przyczyn byłoby to wstydem;
 Wreszcie opisze go wam książę Puckler-
 Muskau, co z naszym podróżował gidem
 I pokazywał swą karykaturę
 Grekom, wylazłszy na Parnasu górę;

21

Który się nie kładł spać, aż była czwarta;
 Który chciał ogród założyć niemiecki
 W guście angielskim tam, gdzie była Sparta,
 Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,
 By się hojdając, z krainy Likurga
 Mogli przенosić myślą – do Strasburga;

22

Który – to zawsze mówię o tym księciu:
 Niechaj pamięta autor o autorze –
 Który zasnawszy wieczór w przedsięwzięciu,
 Zbudzony... spytał się: „W jakim kolorze?”
 A rząd bawarski, myśląc o sadzonym
 W Sparcie ogrodzie, powiedział: „W zielonym...”

23

Który się na to obraził... i chwilę
 Zastanowiwszy się – po kilku chwilkach
 Tak zadrzał gniewem, że wszystkie motyle,
 Na kapeluszu siedzące na szpilkach...
 Zaczęły spadać i kłuć w nos Ottona.
 O zemsto... mówią, żeś słodka – ty słona,

24

Zwłaszcza gdy ciebie Puckler w sól attycką
Całą osypie... i da na zabawkę
Figurę wroga – pod Momusa mycką,
Osolonego solą, jak pijawkę;
Tak się zapewne kręcić i wić będzie
W dziele... pan Otton... na króla urzędzie.

25

Lecz kłaniaj za to ogrodowi w Sparcie;
Ziemia gruzami pozostanie skalna...
Sparta zostanie na światowej karcie
Spartą... historia straci naturalna
Na jakim kwiatku, co ma kształt pantofli,
Lub na rodzaju Spartańskich kartofli...

26

Adieu! Pucklerze, bo mi nie do uszu
Twe imię w rymów sadzone ogrodzie;
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,
Co tak wygląda jak żagiel na wodzie,
W górach jak tarcza okrągła Pelida,
Nad ruinami bogów... jak egida...

27

Bądź zdrow!... a jednak miałbym prośbę małą
Do Waszej Mości książęco-autorskiej,
Ażebyś także moje grzeszne ciało
Na koniu – skreślił. – Na szkapie cecorskiej
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury
W trzy dni po zgonie straszyc grzeszne ciury... –

„Trudno znać siebie” – powiada przysłowie,
 A ja powiadam: trudniej widzieć siebie
 Przez te szkła białe, które w naszej głowie
 Oprawił Stwórca kryjąc się na niebie,
 Tak że choć błękit przenikniecie do dna,
 Skryta wam jedna rzecz – widzenia godna...

A druga także rzecz bardzo ciekawa
 Dla nas – my sami... także nam ukryta;
 Szczęściem, że wierne zwierciadło i sława,
 Często niewierna, wszak wiecie – kobieta,
 Dopomagają nam szkłem i umysłem
 Patrzyć na siebie... i są szóstym zmysłem...

Dlatego bardzo i gorąco żądam
 Widzieć się kiedy w gazet artykule
 Takim, jak jestem albo jak wyglądam...
 Tymczasem muszę całą ziemską kulę
 Przebiegać sobie samemu nie znany
 Z twarzy i z głowy... nie wymalowany...

Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli
 Szczęśliwy, gdyby nie umarł...), że widzi
 Siebie samego w najciekawszej chwili
 Na każdej ścianie. A niech nikt nie szydzi
 Z tej strofy, bo ją skończy myśl Solona:
 „Nie mów, że człowiek szczęśliwy – aż skona”.

Zaprawdę, ja wam powiadam, co rzekły
 Przede mną usta filozofów wielu,
 Że... Lecz nadzwyczaj stają się rozwlekły;
 Więc nic nie powiem – i prosto do celu,
 Nie zatrzymany strofą ni morałem
 Na moim koniu biednym pędzę czwałem.

Hop! hop... jak upiór... obracam tak nogi,
 Że kwadratowe tureckie strzemiona
 Kolą w bok konia jakoby ostrogi,
 A moja szkapa z wiatrami puszczone
 Pędzi, jak gdyby czuła żłób koniczyn;
 Lecz wtem... zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

Primo: towarzysz mój (a tu mi skłonno
 Aż do łez, pomnąc na konia strukturę),
 Był jako człowiek, który idzie konno;
 A kiedy biedne zwierzę szło pod górę
 I chociaż mogło iść o własnej mocy,
 Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy...

I tak się razem nieśli... O widoku
 Rozczulający! Łez nie pojmie profan...
 A jako niegdyś w błękitnym obłoku
 Sokrata skreślił błazen Arystofan,
 Latającego po niebieskim sklepie
 Na żółwia nogach, w szyldkretu czerepie,

36

Tak ja po greckich w gimnazji naukach
 Mógłbym podobną ubawić was sceną,
 Wymalowawszy na głębokich jukach
 Ukochanego filozofa Zeno...
 Który w tej chwili przez niemożność skoku
 Był pierwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku.

37

Druga z tych przyczyn była także cnotą
 Filantropiczną: właściciele koni
 Za kochanymi końmi szli piechotą...
 Jeden jak Turek miał turban na skroni,
 Drugi jak ojciec podobny do syna –
 Belwederskiego miał twarz Apollina.

38

Trzecią z tych przyczyn – dla których wstrzymana
 Wietrzność mojego była wiatronoga:
 Oto, że nagle ja i karawana
 Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga
 Przeszkodą – wprawdzie dla Mojżesza małą...
 Z tej strony morzem, a z tej strony skałą.

39

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa,
 Rzucam się w morze... Czy w cudy wierzycie?
 Z fali, stracona ręka Cerwantesa,
 Jak cień wielkiego nosa na suficie
 Wyszła... figowe pokazując godła
 Światu – a mnie zaś przez fale przewiodła...

40

I opryskani falą o brzeg bitą,
Na popas... w małym stanęliśmy khanie,
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą,
Inni spoczęli przy chruścianej ścianie,
A ja, nie spity napojami maku,
Znalazłem grotę w rododendrów krzaku.

41

Na samej wstążce srebrzystego żwiru,
Co się nad morzem pod krzakami winął,
Jak sztuczna biała oprawa szafiru,
Spocząłem... i wzrok na błękicie zginął
I myśl smutniejsza przyszła mnie kołysać,
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

42

Smutne! Myślicie, że grzechów siedmioro
Przyszło mię dręczyć... lub łza emigranta...
Nie – ach, myślałem, że już madreporą
Stało się ramię biednego Cerwanta,
Ramię nieszczęsne, które zaczynało
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

43

I urodzony w Cerwantesa głowie
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy;
Ramię, co było w romansu połowie,
Potem doznało takiej wielkiej przerwy,
Jak kiedy zabrzmi trąb dziesięć tysięcy,
Potem milczenie... nic nie słychać więcej...

Dziwnie utracić jaki ciała członek
I myśleć potem, że już leży trupem,
Że już w nim żadna z kosteczek ni z błonek
Nie myśli o nas... i stała się łupem
Robaków – a zaś dusza pełna sromu
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.

Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką
Własnej mogiły... i czyścićca męczarnie
Od niej odwracać... bo jeszcze jest sprzeczką,
Czy dusza za nas płaci solidarnie,
Czy członek, co się na ciała pogrzebie
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie...

A tu bym bardzo mądrze i głęboko
Dowiodł... że kiedy nasz Zbawiciel kazał
Wyłamać rękę lub wylupić oko,
Więc... trzeba, abym tę strofę przemazał,
Bo jej dokończyć, jak chcecie, nie mogę,
Bo osiodłany koń... i ruszam w drogę...

PIEŚŃ VI

NOCLEG W VOSTIZY

1

Dalej, mój koniu! powoli – dość czasu –
Krajograficznie strofami wyłożę,
Jaka mnie droga prowadzi z Patrasu;
Po prawej stronie góry – z lewej morze,
Za morzem znowu i skały, i góry
Nad nimi niebo błękitne bez chmury –

2

Nie ma ta ziemia czego złożyć w styrcie;
Koń dzwoni w głazy, depce chwast, dziewanny;
Czasem przy drodze w rozłożystym mircie
Widać rudera tureckiej fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc... nawet Grecy smętni...

3

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty... i tak liściem szumią
Nad fontannami jak pacierz derwisza.
Cały ten smutek błękitami tłumią
Wody Lepantu i z czystego nieba
Patrzące czoło (jestem w Grecji) Feba.

4

Ani po drogach bawiącej się dziatwy,
 Ani człowieka w polu, ni na drodze,
 Czasem szumiącym lotem kuropatwy
 Porwą się w stado... tuż przy konia nodze,
 I padną blisko... i znów cisza wielka.
 Jaskółek żadna nie wyszle ci belka...

5

Niebo, tych czarnych gwiazdek pozbawione,
 Wiecznie błękitne, zda się, że nad smętnym
 Krajem przeszłości – leży zamyślane
 Jakim obrazem dawnym i pamiętnym
 Tylko samemu Bogu... co w nim duma,
 Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma.

6

Ząbek się lasu dopióro wyrzyna;
 Małe sosenki jako pszczoły brzęczą
 Jedwabnym kolcem... Jeżeli masz syna,
 A tego kraju ludzie nie zmęczą,
 Może zobaczy Grecją pełną krasą,
 Ubraną w ludzi szczęśliwych – i w lasy.

7

Ale my, dzieci nieszczęścia, stąpamy
 Po głazach, chwastach, i ruinach – głuchych;
 My się przez wielkie pustynie wołamy
 W ciszy bezludnej. My przy źródłach suchych
 Szukamy wody, spaleni zarzewiem.
 Gdzie będą szukać naszych mogił? – Nie wiem.

8

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary
Przybywających wreszcie do Vostizy.
Tu jeszcze pomnik turecki, dąb stary,
Na podniesieniu z głazów przy ulicy
Siedział spokojny. O tej to godzinie
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.

9

Lubiłem lipę, co nad sławnym Janem
Cień rozstrzelony zbierała pod siebie
I co rok miodu obdarzała dzbanem
Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,
Co była drugim poety mieszkaniem,
Głośna słowików – szpaków narzekaniem,

10

Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole,
Co tak wysoko niosła czoła wianki,
Jakby ze dworu wyglądała w pole
Na przyjazd pana lub pańskiej kochanki,
Co nad szmerami słodkich ust dziewicy...
Szumiała cicho, pełna tajemnicy...

11

Ta lipa dla nas jak Partenon grecki,
Ma pełno smutku niewymówionego.
Stanąłem patrząc na ten dąb turecki;
Smucił mię także – lecz nie wiem, dlaczego...
Bezużyteczny liśćmi i chłodem,
Oko zadziwia wielkim pnia obwodem...

12

Pień jego w sobie ma siły potęgę
 I wielki smutek starości... i żalność
 Nad tymi, co go znali... Stone-henge
 Zaniesie myśli w olbrzymią zuchwałość
 Tytanów dawnych... W tej świątyni progu
 Myślisz o człeku, co ją siał... i Bogu.

13

O mój turecki dębie! dębie stary!
 Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem;
 Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,
 Tu wszyscy ludzie bić ugiętym czołem.
 Lubię cię, dębie wyniosłego czoła,
 Z liściem rozwianym jak skrzydło anioła.

14

Szczęśliwi ludzie, których anioł dźrzy
 W swojej opiece! szczęśliwe te kraje,
 Co mają drzewa – na miejscu oberży –
 Siane po łąkach, gdzie płaczą ruczaje –
 Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcej...
 Nagle krzyknąłem... „Do kroćset tysięcy

15

Milionów...” tu mi kochany Eurypid
 Słowo eumenid dał do wykrzyknika,
 A mój towarzysz rzekł: „Mais c’est insipide
 Spać tu... w tej klatce... co ma kształt kurnika;
 Comment, Giuliano!” – (tak się zwał nasz sługa) –
 W Vostizy musi być oberża druga!”

„Non c'è” – rzekł sługa. „Więc spać tu – na ziemi?
 Wszak to nie ściany, lecz z łuczywy krata,
 Pajęczynami wybita czarnemi”.
 A ja dodałem: „Jak horyzont świata
 Zawarty zewsząd... bez okien, któredy
 Dusza by mogła wyjść za zmysłów błędy...”

I zakończyłem słowami: „Daj świecy!”
 „Świecy! – rzekł kompan – „wszak tu wiatr zagasi
 Słońce w lichtarzu, księżyc w szabaśnicy!”
 Rzekłem: „Giuliano, hej! tho se mu krassi...
 Gorzkie jak piołun – niech Bóg będzie z nami!
 Jest co jeść? – nie ma... więc tho se mu psami!”

To się po grecku znaczy: „daj mi chleba!”
 Przyniósł... postawił... i znowu zapytał
 Bardzo układnie: „Czego panom trzeba?”
 A gdybym na chlebie zębami pozgrzytał,
 Zdjęty poczuciem nieszczęśliwych wrózek,
 Nie spodziewając się... wołałem – „Łóżek...”

I światła... światła... tu na biegunie
 Północnym ciemno – i wiatr wszędy świszczę;
 Pusto jak w zgniłym orzechu świstunie...”
 Tu mój towarzysz rzekł: „Więc ja przepiszczę
 Na hebanowym moim flażolecie
 Tę noc, przepędzę ją najlepiej w świecie”.

20

I już wyciągał wiatrobrzmiący bardon,
 Lecz ledwie zaczął donośnie w otwory
 Przegrywać – jakiś głos: „I beg your pardon,
 But I don't like the music, I am sorry” –
 Z prawej się strony wydobył przez kratki:
 Anglik zamknięty był do drugiej klatki.

21

I była Babel okropna języków,
 Aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka
 Zesłała parę płonących knocików,
 I dwa napięte jak struny krosienka;
 To były łóżka... jeśli kto nie wierzy,
 Tłomaczę jaśniej: to na czym się leży...

22

Ach, leży tylko – bo wszystkie zefiry
 Zbiegły się do nas – i wiatr z nami płaśał,
 A dar krosienek... jako Dejaniry
 Koszula – gdzie się go dotkniesz... tam kasał;
 Ach, jam się dotknął – i ogień mię złapał,
 I byłem w piekle; mój towarzysz chrapał.

23

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
 Samemu sobie bardzo poetycznym:
 Na skały igle, na ruin terasie –
 W usposobieniu umysłu vehmicznym –
 Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada
 Trzykrotnym głosem: „Biada! biada! biada!”

24

Gdy patrzy w słońce o zachodzie krwawsze,
Kiedy się żegna z kim i przy miesiącu
Mówi z westchnieniem głębokim: „Na zawsze!”
Gdy przy dognanym zeskoczy zającu,
Dobędzie noża – i obcina skoki...
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

25

W chwili, gdy skończy szkoły i nauki,
Gdy go za rękę uściśnie sam rektor;
Gdy go mianują sędzią; gdy go wnuki
Obsiadą; gdy kraj obroni jak Hektor
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów
Gdy wygra partią bilardu lub szachów...

26

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz
I na kochanki usiądzie mogile...
Albo gdy mówi doń kto: „Czy pamiętasz
Paryż?...” Są różne poetyczne chwile:
Kiedy na przykład w towarzystwie znanym
Siądziesz pośrodku – na cenzurowanym...

27

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświecenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w napoliońskie wierząc przeznaczenie,
Słuchasz bez drżenia – kul lecących świstu...
Gdy „Comte” przeczytasz na kopercie listu;

Gdy... i tam dalej... Z tych miłości własnych
 Żadna nie przyszła do snu mię kołysać...
 Przy dwóch światełkach jak gwiazdy niejasnych
 Chciałem z krosienek moich wstać i pisać
 Czekając zorzy różanego świtu...
 Wtem deszcz... w tej klatce nie było sufitu...

I zawołałem: „Ty spisz, Eneaszu,
 A tu deszcz na nas ... leje się z dachówek!”
 Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,
 Więcej do czynu sposobni niż słówek,
 Wściekać się więcej zdolni niż lży ronić
 Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić...

Szczęściem, że w ścianie uwitej z sośniny
 Po obu stronach były dwie framugi –
 Ach nie framugi – zaczęte kominy,
 Więc ja jak krótki – mój kompan jak długi,
 Oba jak dłutem z marmuru wycięci,
 W niszach przeciwnych – kto by rzekł, że święci...

Przy naszych nogach zapalone lampy,
 Ręce złożone na piersiach pobożnie.
 Każdy z nas biały... jak w operze *Zampy*
 Wiedźma z marmuru – bardzo nieostrożnie
 Pierścieniem złotym za żonę pojęta,
 Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta,

Lub jako mumia w ścianach piramidy –
 Niech porównania dalej lecą kłusem.
 Byliśmy jako ów posąg Tetydy
 Zakryty wody srebrzystej obrusem,
 Stojący sucho w wodnej samolówce,
 Który czytelnik zobaczy w *Sofiówce*.

Tu, wychyliwszy głowę, mój towarzysz
 Głosem żalonym... rzekł: „Czy żyjesz?” – „Żyję”. –
 A on mi znowu rzekł: „O czym ty marzysz?”
 A ja mu rzekłem... że się nie ukryje
 Żadna zasługa – pod żadną przeszkodą;
 Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi –
 Nie spali ogień... A kompan: „Nie słyszę;
 Woda tak szumi, już mokre mam nogi...”
 A ja mu na to: „Cierp, a ja opiszę
 Nasze cierpienia ściągnięte bez winy
 I przedam wiernie córkom Mnemozyny...”

„I kiedyś, w późne wieki... wstanie mściciel,
 I tu postawi hotel... mości panie!
 Tu, na tym miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
 Mógłby duszeczki kąpać jak w Jordanie;
 Tu gdzie stoimy – ja ci przepowiadam,
 Że stanie hotel... tu, gdzie w nurty padam,

„W nurty natchnienia... myśląc o żegludze
 Dawnych rycerzy – Eneja, Ulissa...”
 A mój towarzysz rzekł mi: „Ja się nudzę
 Stojąc w tej niszy jak kozacka spisa;
 Wyznaj, że Grecja – c'est ennuyeux en diable,
 Ja cały mokry – mais c'est insupportable!

„Nie masz zegarka? ja mój do kompasu
 Zregulowałem... tam na łóżku leży...”
 A ja mu na to: „Mamy dosyć czasu!
 Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,
 Gadajmy sobie o czym pożytecznym:
 Lub o zbawieniu, lub o ogniu wiecznym...

„Albo śpiewajmy sobie kontredansy
 Tańczone dawniej – ja dyszkantem wlekę –
 Albo ci powiem powieść Sancho Pansy
 O trzystu owcach wiezionych przez rzekę...
 Ty licz, ja będę tron mówcy dziedziczył;
 Jeśli chcesz... ty mów – a ja będę liczył...

„Czy znasz Byrona? – nie? – to wielka szkoda!
 Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;
 Czajld Harold niegdyś był w Grecyj... Ta woda
 Łóżka nam porwie srebrzystymi wały...
 Czy znasz Platona?... przyszło mi do głowy
 Zacząćie jednej Sokrata rozmowy...

„»Chodźmy – rzekł – w klonu szerokiego cieniu
 Na pochylonej odpocząć murawie;
 Oba zanurzymy tu stopy w strumieniu;
 Jak tu cień miły... jak te świerszcze w trawie
 Śpiewają słońcu... « Dalej w sprzeczce walnej
 Sokrat piękności daje idealnej

Rysy, granice... i w mgliste przezrocze
 Obwija posąg – cudownego wdzięku;
 A strumień żywy stopy mu łaskocze” –
 Tu nasz Juliano – z latareńką w ręku
 Wszedł... i zobaczył... nasze dwie figury
 Jak dwa posągi opravione w mury;

Z lampami w nogach... Rzekłem: „Pigmalionie,
 Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi ,
 Przynieś parasol.” – Tak przez wodne tonie
 Przeszliśmy oba – a jeśli was nudzi
 Ta pieśń... pomyślcie, że to jest obrazem
 Greckich oberży... łózek – i nas razem.

PIEŚŃ VII

MEGASPILLEON KLASZTOR

1

Wiem, że ze śmiechu przeskakiwać w smutek
Jest wielkim błędem... charakteru wina,
A raczej nerwów rozchełzanych skutek,
Brak sentymentu – że w trop Lamartina
Idąc nie łączę... w pieniach – o, herezja!
Trzech westchnień ciągłych... „Miłość! Bóg! Poezja!”

2

Miłość od Boga staje się odporem –
Spytaj się oto panny Chołoniewskiej,
Co rządzi młodych panienek klasztorem –
Miłość (prócz czystej miłości niebieskiej)
Wprowadza duszę w jakiś grzeszny zamęt.
Nie wolno kochać, jak Święty Sakrament –

3

Lecz pierwsza miłość – pierwsza! platoniczna –
O! wstaw się za mną, O! Najświętsza Panno!
Ty jesteś taka na obrazach śliczna –
Widziałam Ciebie – dziś pod tęczą ranną
Nad błękitami Lepantu, w niebiosach,
W tęczy, na chmury rozplakanej włosach...

4

Poezja także często walczy z Bogiem,
Chybabyś pisał ciągle o myślistwie,
Jak *Pan Tadeusz* obeznany z rogiem.
Bóg Lamartina jest w złym towarzystwie;
Chrystusa trzeba dać do takich kmotrów,
Byłby znów Chrystus między dwojgiem łotrów.

5

Więc rozwiązawszy tak dobrze zawilość
Teologiczną, przyjmuję za godło
Tych kart – Poezję, Chrystusa i Miłość –
I to mię będzie teraz ciągle wiodło
Z góry na górę, od boru do boru –
Do Megaspilon na tę noc, klasztoru.

6

A ty, Poezjo, nie bądź więcej śmieszka,
Ale opowiedz – jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką,
Jak coraz dalej posyłałem oko
Za laurem pięknie kwitnącym pode mną
I za otchłanią mórz błękitnie ciemną,

7

Jak o południu cień kolczastej gruszy
Osłonił całą podróżnych gromadę...
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ogień w oczach słońca blade,
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie,
Jakośmy orłów słyszeli krakanie...

8

A morze jasnym wabiące lazurem
 Daleko od nas – szukane oczyma –
 Za gór przebytych błysnęło się murem
 Przez dwie szczeliny – maczugą olbrzyma
 Albo Rolanda rozcięte zamachem.
 Powietrze cząbrów poiło zapachem...

9

A teraz myślę, jak z liter i cyfer
 Ułożyć oczom klasztor Megaspilion,
 Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer
 Mahometowi – tak długo jak Ilion,
 Albo jak nasza piękna Częstochowa,
 Kulami ryta – cudem boskim zdrowa...

10

Zjeżdżaj na koniu w dolinę głęboką.
 Góra zielona... wjeżdżaj na tę górę –
 Ślimaczą drogą... teraz podnieś oko!
 Gdzie patrzysz? wyżej... tam – tam – aż pod chmurę!
 O! jaki widok!... Skała rośnie złota
 Z arabeskowym rysunkiem Calota;

11

Z łona zielonych krzewin i cyprysów
 Wyrasta ścianą prostopadłą skała
 Porysowana jak mnóstwem napisów –
 Mnóstwami domków, a jaskółka śmiała –
 Ów miły piastun wieśniaczy i boży –
 Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży.

12

Cała budowa jako wachlarz płaska,
 Jeden ma tylko bok i jedno lice,
 A wytnij sobie z jakiego obrazka
 Całą niemieckich miasteczek ulicę,
 Niechaj mur jeden jednostajnie siny
 Nosi te domki – krużganki, kominy

13

I galeryjki, i sine okienka,
 I domki wczora tynkowane świeżo,
 Niechaj to wszystko różnorodnie wsięka
 W jedną podstawę – pożegnaj się z wieżą
 I z dzwonnicy, któreś sobie roił,
 A jeśliś domki pobudował, spoił

14

I sobie całą ułożył strukturę,
 Zanieś to wszystko – wyobraźni okiem –
 Na szmaragdową cyprysami górę,
 Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem
 Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek,
 Postaw forteczkę ... i jaskółczy domek...

15

Niech dom, co mnichów kominami goni,
 Framugę sadzy zrobi pod klasztorem,
 Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,
 Niech teraz będzie spokojne wieczorem
 I zda się lekkim pajęczyny włoknem,
 W płomieniach słońca jasne każdym oknem.

16

Niechaj to wszystko razem się pokaże
 Nad głową twoją – i za drzewy znika,
 I znów jak dziewic szpiegujące twarze,
 Gdy spoza liści śledzą wędrownika
 I same także śledzone ciekawie,
 Znów błyska, znika – i śni się na jawie:

17

A będziesz widział; nie widzisz?... więc próżno!
 Ja doskonalej nie opiszę rymem...
 Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną,
 Mój czytelniku, i został pielgrzymem;
 Inaczej z wielką litością i żalem
 Będę o tobie myślał – w Jeruzalem.

18

Tymczasem... co to... wiosenny skowronek
 Śpiewa nad nami w obłoków błękitnie ?
 Nie, to klasztorny na krużganku dzwonek
 Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.
 Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,
 Znów karawana idzie w górę cicha...

19

Oczy po takim ciągłym wniebowzięciu
 Patrzą w obłoki... a klasztor przed nami,
 A mnichów trzystu sześćdziesięciu pięciu
 W błękitnych szatach, z czarnymi brodami
 Snuło się w słońca złotego odbłyску,
 Jak rój komarów lub mrówki w mrowisku,

20

Lub jak rój pszczeli – bo tak doskonale
W plastrze tyńkowym porobił komory,
Tak poświdrował korytarze w skale,
Wiszącym domkom takie dał podpory,
Tyle zapasów nagromadził w doły,
Że Bóg się spyta: „Ludzie wy? czy pszczoły?”

21

„Czy jakie inne i mniejsze robaki,
Co w przylepionym na skale listeczku
Nagromadziliście wina, tabaki,
Cnót po troszeczku, grzechów po troszeczku,
Czekając jasnej zmartwychwstania chwały,
Gdy cicho listek odedrę ze skały?”

22

„I wy myślicie, że ja wam przepuszczę,
Patrząc na tyńku odpadłego łąte,
Na korytarze wasze, co jak bluszcze
Idę na skałę – kręte, węzłowate,
Na źródło wasze cudowne, na składy,
O moje małe bezpłciowe owady!”

23

„Wy, którzy świecę zapalacie jasną,
Gdy pielgrzym kładzie grosz swój do karbony –
Nie obrazowi, lecz na miłość własną
Rzucając blaski – wy, kraczące wrony,
W kraju bezpłodnym – i pięknego nieba,
Gdzie się i modlić – lecz i orać trzeba!”

„Aż taż to beczka! (to wszystko Jehowa
 Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,
 A ja powtarzam tylko Boże słowa)
 Ta beczka – votum chorego człowieka,
 Którą dał biedny – ach nie mnie, Jehowie,
 Lecz wam – za cudem odzyskane zdrowie...

„I wasze głupstwo, żeście się chwalili
 Z takiego daru, i wasza ciemnota,
 Życie podobne do próżniackiej chwili
 I wasza grubość chłopska – nie prostota,
 I wasze kłamstwo cudów... i tam dalej,
 Weź, Lucyferze... niech ich piekło spali...”

Tu się jednego twarz Archimandryty
 Odwróci z jednym mnichów pokoleniem
 I rzeknie Bogu: „Nasz dom, nie zdobyty
 Ibrahimiowym mieczem i płomieniem,
 Zniszczyłeś, Boże... a Lucyfer dumny,
 Żeś odkrył pełne prochem – grzechów trumny –

„A ślad na skale gmachu – jak na belce
 Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek,
 A pomyśl – kiedyś zatrwożony wielce
 W naszym klasztorze lud znalazł przytułek,
 Wtenczas widziałbyś – dla mrących z przestachu
 Aniołem stróżem każdy kamień gmachu.

„I gmach się wtenczas cały w lud zamienił...
 Jak twój tron jasny mieni się w aniołów;
 Bo wiele duchów zebrał i spromienił
 W twoje podnóże... i do naszych stołów
 Siadało wiele... nas, mnichów niegodnych,
 Lecz wiele sierót płaczących... i głodnych...

„I w nocy pełnej pioruna i błysku
 Sam szedłem – własne zapalić szpichlerze,
 Co pod nogami na skały urwisku
 Stały – ubrane w cyprysowe wieże,
 I zapaliłem... i przy tym pożarze
 Widziałem w dole białe Turków twarze.

„Potem z klasztoru patrzaliśmy, mnichy,
 Na mur – poryty ognistymi rysy,
 Na dom nasz własny... już jak węgiel lichey,
 I na stojące w płomieniach cyprysy,
 Jak ci szatani – co tam, widzisz, Boże,
 Stoją przy piekła płomiennym otworze.

„Niejeden mrący, spragniony i ranny –
 W ostatniej chwili usłyszał nad sobą
 Płacz... brylantowej cudami fontanny,
 Otworzył usta – westchnął – i był z Tobą...
 •ródło, że wiecznie płakało nad ludem
 Żywych i mrących – nazwaliśmy cudem”.

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym,
 Na potępienie mnicha rzekłem z boku:
 „A owa! owa! – w tysiącnym ośmsetnym
 Trzydziestym szóstym... (nie myślę się) roku,
 Dnia trzynastego września (tak mi świeża
 Data i dzień ten) – dana mi wieczerza?

„Sam ją kazałeś zastawić na stole
 I sam przyszedłeś, o archimandryto,
 Cieszyć się patrząc, jak mię w gardło kole
 Kość twoich garnków, twego chleba żyto –
 Mszcząc się, że paszport wydała mi Francja,
 Że czczę papieża... Lecz gdzie tolerancja?...

„Czyli dlatego, że wam do kościoła
 Przysłano z Moskwy obraz Nikołuszki...”
 Tu mnich uleciał na skrzydłach anioła,
 A ja na łonie tureckiej poduszki
 Budząc się, widma spłoszyłem niesforne;
 Słońce błyszczało przez szyby klasztorne.

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
 W ciemną altanę lub na sklep... gdzie prix fixe
 Błyszczą klejnoty... lub do księżnej celi
 Złotym promieniem lecąc na krucyfiks,
 Albo na rzymskich kościołów mozaiki,
 Lub na błękitny dym rzucony z fajki;

Lubię, gdy pada promień złotolity
Na siwe włosy starego żebraka
Albo na czoło umarłej kobiety,
Albo na skrzydła pływające ptaka,
Albo na róże, co wysoko niosą
Jesienne czoła błyszczące się rosą...

Lubię, gdy pada z chmur na odsłonią
W pochmurnym rynku statuę Kopernika,
Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono
I znów z człowieka robi słonecznika,
Za światłem życia obracając twarzą
Myśli marzące... póty, póki marzą...

W komnacie mnisiej, otoczonej w koło
Rzędem tureckich sof kwiecistej barwy,
Promień słoneczny padł na moje czoło
I snów zwichrzonych rozpędziwszy larwy,
Rozwinął znowu moje myśli senne
Na życie marzeń mglistych całodzienne.

PIEŚŃ VIII

GRÓB AGAMEMNONA

1

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtórzy myśli posepnej i ciemnej;
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona,
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. Jak mi smutno!

2

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wieczne słycać!
Druidyczna to z głazów wielka grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos – ta bieli płótno
I odzywa się z laurów : „Jak mi smutno!”

3

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przedziwo,
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną,
Tu wiatr obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów – a te puchy
Chodzą i w grobie latają jak duchy,

4

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
 Przed nagrobowym pochowane słońcem,
 Jakby mi chciały nakazać milczenie,
 Sykają. Straszny jest rapsodu końcem
 Owe sykanie, co się w grobach słyszy –
 Jest objawieniem, hymnem, pieśnią ciszy.

5

O! cichy jestem jak wy, o Atrydzi!
 Których popioły śpią pod świerszczy strażą.
 Ani mię teraz moja małość wstydzi,
 Ani się myśli tak jak orły ważą.
 Głęboko jestem pokorny i cichy
 Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy.

6

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
 Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni,
 Posadziły go wróble lub gołębie
 I listkami się czarnymi zieleni,
 I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
 Zerwałem jeden liść z czarnego kuszca;

7

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
 Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
 Tylko się słońcu stała większa szpara,
 I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
 Zrazu myślałem, że ten co się wdziera
 Blask, była struna to z harfy Homera;

8

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
 By ją ułoić i napiąć, i drżącą
 Przymusić do łez i śpiewu, i złości
 Nad wielkim niczym grobów i milczącą
 Garstką popiołów – ale w moim ręku
 Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

9

Tak więc – to los mój na grobowcach siadać
 I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
 To los mój senne królestwa posiadać,
 Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
 Albo umarłych – i tak pełny wstrętu...
 Na koń! chcę słońca, wichru i tętentu!

10

Na koń!... Tu łozem suchego potoku,
 Gdzie zamiast wody płynie laur różowy;
 Ze łzą i z wielką błyskawicą w oku,
 Jakby mię wicher gnał błyskawicowy,
 Lecę, a koń się na powietrzu kładnie;
 Jeśli napotka grób rycerzy – padnie.

11

Na Termopilach? – Nie, na Cheronei
 Trzeba się memu załamać koniowi,
 Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
 Dla małowiernych serc podobne snowi.
 Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
 To tej mogiły, co równa jest – naszej.

12

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
 Odgonić legion umarłych Spartanów;
 Bo jestem z kraju smutnego ilotów,
 Z kraju – gdzie rozpacz nie sypie kurhanów,
 Z kraju – gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
 Zostaje smutne pól – rycerzy – żywych.

13

Na Termopilach ja się nie odważę
 Osadzić konia w wąwozowym szlaku;
 Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
 Że serce skruszy wstyd – w każdym Polaku.
 Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem –
 Nie – pierwszej skonam, niż tam iść – z łańcuchem.

14

Na Termopilach – jaką bym zdał sprawę,
 Gdyby stanęli męże nad mogiłą
 I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
 Potem spytali wręcz: „W i e l e w a s b y ł o?”
 Zapomnij, że jest długi wieków przedział. –
 Gdyby spytali tak – cóż bym powiedział?

15

Na Termopilach, bez złotego pasa,
 Bez czerwonego leży trup kontusza,
 Ale jest nagi trup Leonidasa,
 Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
 I długo płakał lud takiej ofiary,
 Ognia wonnego i rozbitej czary.

16

O Polsko! póki ty duszę anielską
 Będziesz więziła w czerepie rubasznym,
 Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
 Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym,
 Póty mieć będziesz hyjenę na sobie,
 I grób – i oczy otworzone w grobie!

17

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
 Tę – Dejaniry palącą koszulę:
 A wstań jak wielkie posągi bezwstydnym,
 Naga – w styksowym wykąpana mule,
 Nowa – nagością żelazną bezczelna –
 Nie zawstydzona niczym – nieśmiertelna!

18

Niech ku północy z cichej się mogiły
 Podniesie naród i ludy przelęknie,
 Że taki wielki posąg – z jednej bryły,
 A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
 Ale z piorunów ma ręce i wieniec,
 Gardzący śmiercią wzrok – życia rumieniec.

19

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą;
 Pawiem narodów byłaś i papugą,
 A teraz jesteś służebnicą cudzą.
 Choć wiem, że słowa te nie zadrzą długo
 W sercu – gdzie nie trwa myśl nawet godziny,
 Mówię – bom smutny – i sam pełen winy.

20

Przeklnij – lecz ciebie przepędzi ma dusza,
 Jak eumenida przez wężowe różgi,
 Boś ty jedyny syn Prometeusza:
 Sęp ci wyjada nie serce – lecz mózgi.
 Choć muzę moją w twojej krwi zaszargam
 Sięgnę do wnętrza twych trzew – i zatargam.

21

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna,
 Lecz wiedz – że ręka przekleństw wyciągnięta
 Nade mną – zwinie się w łęk jak gadzina
 I z ramion ci się odkruszy zeschnięta,
 I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
 Bo nie masz władzy przekląć – niewolnico!

22

Nie! nie, dopóki będziesz ręką drżącą
 Zakrywać piersi puste, owdowiałe,
 To ja nie klękne, nawet przed klęczącą,
 Bo ja mam inną, smutną matkę – chwałę,
 Co mi ociera łzy, płynące rzadko,
 A i tę trzecią mam... co mi jest matką...

23

O najbiedniejsza! tobie z pól myceńskich
 Chciałbym już posłać prochów moich urnę...
 Wrzuć w proch ten – dwoje obrączek małżeńskich,
 Zaklnij Dyjanę i duchy pochmurne,
 Aby ci widzieć mnie raz pozwoliły
 W promieniach... jam ci był drogi mi miły.

24

Teraz nie jestem niczym – a te mary,
Co okrzyły mnie... wzywają dalej
I pokazują girlandy i gwary
Anielskich duchów... Pójdę... krew mnie pali;
Już osądzony, śpiewam jak łabędzie,
Lecz gdy cię dojdzie pieśń, co z tobą będzie!

25

Tyś uśmiechała się – to było wczora,
Kiedyś mię smutnym w dzień znalazła inny
Zapłakanego – nad śmiercią Hektora.
Nie był to głupi płacz – ani dziecinny,
Głupsze są teraz łzy... co lecą skorsze,
Gdy wspomnę los mój – ach! łzy stokroć gorsze.

26

Żurawie, co tam nad Koryntu górą
Rozciągnęłyście łańcuch ku północy,
Weźcie na skrzydła moję pieśń ponurą,
Zanieście z sobą... może przyszłej nocy
Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,
Jak dzwon żalony brzmiąc w krainach ducha.

27

Żurawie! wy, co w powietrze różane
Co rano długą wzlatajcie szarfą,
Wyście mi były niegdyś ukochane,
Wyście jesienną moją były harfą!
Wy – i szumiące sosny nad grobami,
Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami?

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,
 Że będę kiedyś nieszczęsny i błędny...
 Że może z serca niedoli urosnę
 I będę z duchów miał wieniec podrzędny,
 I z dziką kiedyś pożegnam tęsknotą
 Wasz łańcuch – zorzą pochłonięty złotą.

Dziś ta godzina przyszła... bądźcie zdrowe!
 Tam Archipelag mnie woła błękitny,
 Tam Korynt trzyma koronową głowę,
 A za Lepantem Parnas starożytny...
 O muzo moja! jakże ty pozdrowisz
 Górę, gdzie siedział Apollo i Jowisz?

O romantyczna muzo, na kolana!
 Bo ja ukłony mam tu dla tej góry
 Od lipy wonnej klasycznego Jana
 I od śpiewaka dzieci i tonsury,
 I od śpiewaka Potockich ogrojca,
 I cichy... łzawy pokłon mego ojca.

Ja wiem, że teraz on jest przy mnie duchem
 Ale mu twarda śmierć zamknęła wargi;
 Oto mi nawet szeleści nad uchem
 Figowe drzewo... jakby – szmerem skargi...
 Słyszę... głos mi już ojca niepamiętny,
 Lecz jego musi to być głos – bo smętny.

Więc smutnym głosem i niedomówionym
Pozwala czasem śmierć mówić po śmierci.
Góro, co błyskasz księżycem czerwonym,
Jak wulkan krwawy... o, pęknij na ćwierci...
Boś ty wyśmiana wróblów świergotaniem,
Albo za wczesnym rannych kurów paniem.

.

PIEŚŃ IX

1

Jest na korynckiej górze mała grotta,
Figowym drzewem od wejścia zakryta,
I tam odbiegła mię moja tęsknota;
Stamtąd albowiem oko tęskne wita
Kraj cały – żyzny, zielony, szeroki,
Przerżnięty wstęgą korynckiej zatoki.

2

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
Morze nie świeci, jak tu, w tej dolinie.
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślane odwrócić się nie chce,
Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

3

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,
Korynt... Już myślisz... że tam kolumnady,
Jakich wzrok często północnika łaknie;
Lecz Korynt dzisiaj... to chatek gromady,
Nad nimi kolumn niewielkich wierzchołek,
A matką wszystkich kolumn – ten kościółek.

4

Wszedłem... w świątyni dwie młode Greczynki
 Miotłami z ziemi zmiatały na kopce –
 Czarne od prochu korynckie rodzyнки,
 A na kolumnach ściętych mali chłopce,
 Pasterze... w dudki z trzciny wycięte grali,
 Kilka baranów sennych i tam dalej...

5

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek...
 Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi;
 Ten smutny kolumn już bezzennych wianek,
 Te drzewa żywe, co z marmurowymi
 Takimi są tu nieraz przyjaciół,
 Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

6

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy...
 Pełny baranów cień każdej kolumny
 I pełny owiec cień każdej oliwy,
 A pasterz na te cienie patrzy dumny,
 Bo są jak sznury pereł dla kochanki,
 A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

7

Tu duch przeszłości... spokojność rozlewa
 Na śpiące owce... na pasterzy twarze.
 Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
 I Jowisz rzadko tu piorunem karze...
 Wszystko zamknięte na wiekowe blizny...
 I w takiej ziemi być! i bez ojczyzny!

8

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?
 Czemu nie jestem panem tej winnicy,
 Panem tej chaty nad morza wybrzeżem,
 Nad którą Parnas – w hełmie z błyskawicy –
 Czuwa – i ciche sny bogów nastrecza,
 Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

9

O słońca wschodzie wstawałbym – pobożny,
 Od moich owiec raniej – od jaskółki;
 Do mnie by gołąb zlatywał nietrwożny,
 Z Hymetu by się zlatywały – pszczołki,
 I kładły miody w złamanej kolumnie,
 Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

10

Na mej policy... czara starożytna
 I pełna wina starego amfora;
 Przed chatą – jaka najada błękitna,
 Wylewająca łzy w ciszy wieczora,
 Brzęcząca smutno o marmur wymyty;
 Kilka drzew... kilka malw z jasnymi kity

11

I sad... gdzie ciemna liściami cytryna
 Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
 Pod którą wcześniej noc już być zaczyna,
 Noc sprzyjająca myślom zadumanym,
 Zielonociemna, cicha, wonna, świeża,
 Noc dla poety i owiec pasterza.

12

O wy, Amora słudzy, wietrzne duchy,
 Z motylowymi skrzydłami wietrzniki...
 Ja bym rozesłał was gdzie na podsłuchy
 I przez was wiedział natury tajniki,
 I co wieczora, pijąc nektar słodki,
 Strącałbym z czary – was mówiących plotki...

13

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,
 O sercach, które nie kochane – pękły,
 O skarbie w straży aniołów podziemnych;
 A gdybyście mi o czym smutnym jękły,
 O jakim kraju, co leży w mogile,
 Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

14

Skapałbym całych w czerwonym falernie,
 Malwy rozkwitłą schłostałbym łądygą,
 Między różane gdzie zarzucił ciernie
 Lub wzięwszy za łeb – zrobiłbym go frygą,
 Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
 Że mi przypomniął smutek – bez potrzeby.

15

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,
 Kiedy się dla nich cały baran piecze,
 Pokazaliby słońcu, co zachodzi,
 W piryjskim tańcu wydobyte miecze;
 Przed nimi z twarzą jasną i wesołą
 Grałbym na lutni – i prowadził koło.

16

A tam na szarej kolumny ułamku
 Wianek sąsiadów moich siwobrodych,
 Pochyłych ludzi – przy pochyłym domku,
 Dawałby ręką takt tańcowi młodych...
 I przyklaskiwałby memu rymowi.
 Duchy – sny – straty – starce, bądźcie zdrowi...

17

Czy nie widzicie, żem chory – szatanizm,
 Bajronizm – siedem mnie dręczy boleści;
 Wierzę w religią mas – w republikanizm,
 W postęp... a nawet... wierzę w te czterdzieści
 Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,
 Ale w nią wierzę jak w dogmat... z rozpaczy.

18

Mam także ufność wielką w jezuicką
 Reakcją... lecz się nie łączę i czekam;
 Tymczasem trudnię się mową sanskrycką,
 I z Europy znudzony uciekam,
 Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi
 I chce przekonać ludzi – że coś robi.

19

Najwyćwiczeńsi w tej sztuce kłamania
 Nie warci są mi rozwiązać trzewika;
 Ciągle mam czarny palec od pisania
 I w oczach ciągle coś na kształt płomyka
 Poetycznego... stąd mię częściej wita
 Poetą – ten, co widzi, niż co czyta.

Biorę na świadki te strofy ostatnie,
 Czy w nich poezji jest choć za trzy grosze.
 Nie bój się, niech je twa krytyka płatnie –
 Od nieprzyjaciół moich więcej znoszę –
 Te strofy są złe, powiedz to otwarcie;
 Pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie;

Te strofy są złe – no, więc na to zgoda;
 Niepoetyczne... zgadzam się i na to...
 Chodźże tu do mnie... patrz... błękitna woda
 Igra pod moją kaiką skrzydlatą,
 Łódka przez fale rozbudzone pędzi
 Jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.

Przez nachylone żagle księżyc blade
 Pokazuje mi majtki zadumane;
 Stoją jak dawni rycerze Hellady,
 O maszt oparci... złotem haftowane
 Pancerze mają i białe kapoty...
 Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

Oni umieją zostać nieruchomi
 Jako posągi, patrząc w niebo czyste,
 Eol sam wichry szalone poskromi
 I z żagłów – muszle porobi srebrzyste,
 W których się oni... na pół skryci – mieszczą
 Jak duchy – myślą wywołane wieszczą.

I cicho, i wraz... o godzino święta!
Łódka się w morskie rzuciła głębiny
I z jękiem stanęła nagle wzdrygnięta...
To była pierwsza fala Salaminy:
Spotkać pierwszego Polaka przybiegła,
I wstrzęsła mnie tak... i jęła, i legła.

A za nią inne fale z wielkim gwarem
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania.
Jutrzenka żywym spłonęła pożarem.
Słońce... już było bliskie swego wstania;
Myślałem, że w tym wiekopomnym kraju
Stanie w piorunach – jak Bóg na Synaju.